



Nowy cykl POLITYKI: jaka powinna być Polska po przyszłej zmianie rządów – s. 20

Temat tygodnia

- 10 Łukasz Wójcik
**Ameryka Trumpa
przeciw Europie**

Polityka

- 12 Rafał Kalukin
Co z tym KOD-em?
15 Grzegorz Rzeczkowski
**„Ucho prezesa”
– ociepla czy ośmiesza**
18 Wojciech Szacki
**Adam Bielan – człowiek wielu
talentów i partii**
20 Jerzy Baczyński
Adam Szostkiewicz
Jacek Rakowiecki
**Jak odbudować
Polskę po PiS**

Społeczeństwo

- 24 Joanna Cieśla
Chaos po gimnazjach
27 Jak jest demontowany
system ochrony przyrody – rozmowa
z **dr Barbarą Pietrzak**
i **dr. Andrzejem Mikulskim**
30 Ryszarda Socha
**Muzeum wojny otwarte
po partyzancku**
32 Marta Mazuś
**Ciemnoskóry
prawicowiec**
34 Dominikanin
dr Maciej Zięba o tym, dlaczego
księża nie powinni mylić ambony
z mównicą sejmową

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
**Ministerstwa nie ma,
skarby pozostały**
42 Joanna Solska
Szpitala w sieci reform

Świat

- 44 Maciej Okraszewski
**Kłopoty radykałów
z południa Europy**
47 Marek Ostrowski FRANCJA
Jak rolnik pomagał uchodźcom
50 Justyna Prus ROSJA
**Prawosławni staliniści
na zapleczu Kremla**
52 Dariusz Kałan SŁOWACJA
**Andrej Danko,
miększa twarda ręka**

Historia

- 54 Sławomir Poleszak
**Wolność i Niezawisłość
– wyklęci przez PRL**
57 Jan Skórzyński
Portugalia Mario Soaresa
60 Tomasz Wołek
**Salon Walendowskich
– oaza swobodnej myśli**

Nauka

- 62 Agnieszka Krzemińska
Od kogo uczyli się Chińczycy
66 Edwin Bendyk
Globalne przesilenie
68 Andrzej Hołdys
Ekologia przed ekonomią?

Kultura

- 74 Piotr Sarzyński
Architektura wreszcie dla ludzi
77 Kawiarnia Literacka
Jacek Dehnel
78 Rozmowa z **Natalią
Fiedorczyk-Cieślak**, laureatką
Paszportu POLITYKI o jej debiucie
80 Justyna Sobolewska
**Miłość literacka w listach
Czapskiego i Heringa**
82 Paul Verhoeven, reżyser dramatu
„Elle”, o przemocy seksualnej i Jezusie
85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 86 Michał Klimko **Moda na filmy
studniówkowe**
90 Ryszard Wolff
**Polska drużyna
w lidze angielskiej**

Na własne oczy

- 100 Dominik Sipiński
fotografie Anna Zuzanna Olczak
**Sahara Zachodnia: poeci walczą
o niepodległość**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia
• 70 Afisz • 92 Za stołem
• 94 Do i od redakcji • 96 Hartman
• 97 Passent • 98 Fusy
• 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Gadał PiS do obrazu

Niedawno Antoni Macierewicz odsłonił szczegóły działań, które doprowadziły do zażegnania długotrwałego kryzysu w Sejmie. „Trzeba to sobie jasno uświadomić – nie byłoby tak skutecznego i szybkiego działania, jakie zrealizowało kierownictwo PiS (...), gdyby nie obecność kierownictwa PiS 23 grudnia 2016 r. przed ołtarzem, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej” – wyznał na antenie TV Trwam. Nie wiem, czy z tego powodu śmiać się czy płakać, w każdym razie mam nadzieję, że tym razem minister Macierewicz wie, co mówi, i że jego informacja nie pochodzi z tego samego źródła co przeciek o sprzedaży przez Egipt francuskich okrętów Rosji za jedno euro.

Nawiasem mówiąc, natchnione spojrzenie Antoniego Macierewicza wskazuje na to, że od dawna pozostaje on z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w intensywnym, roboczym kontakcie, w przeciwieństwie do paru innych polityków PiS, których oblicza świadczą o tym, że jedynym obrazem, z jakim mają kontakt, jest obraz prezesa Kaczyńskiego. To, że za szybkimi i skutecznymi działaniami kierownictwa PiS ktoś stoi, czuło się od początku, ale nie oszukujemy się, byliśmy pewni, że chodzi o prezesa tej



partii. Rewelacje Macierewicza rzucają na sprawę nowe, chociaż mętne światło, bo nie wiemy, czy ujawnienie roli obrazu w kierowaniu państwem nie jest przypadkiem elementem rozgrywki mającej na celu osłabienie pozycji Jarosława Kaczyńskiego. Macierewicz nie ujawnia, czy podczas wizyty prezes Kaczyński mówił do obrazu, a obraz do niego nie, czy może jednak obraz też do Jarosława Kaczyńskiego mówił, a jeśli tak, to co ten mu odpowiadał. Na usta ciśnie się też kluczowe pytanie: kto za doradczającym PiS obrazem stoi, w ilu osobach ten ktoś występuje i czy są to faktycznie te trzy osoby, o których z lekcji religii wiadomo, że to właśnie one.

Można się oczywiście zastanawiać, czy opowiedzenie się obrazu po jednej stronie ostrego politycznego konfliktu jest właściwe i czy nie powinien się on zachowywać bardziej powściągliwie. Chociaż w kręgach zbliżonych do obrazu panuje opinia, że gdyby to liderzy opozycji udali się do niego po pomoc, też by im nie odmówił. Z tym że, jak wiadomo, jeden z liderów opozycji zamiast do obrazu, wołał się udać na urlop do Portugalii, w dodatku w towarzystwie poślanki niebędącej jego żoną, co moim zdaniem mogło być bezpośrednią przyczyną tego, że obraz postanowił przejść na stronę PiS.



PARK LANE

THE ART of SLOW LIVING

APARTAMENTY PRZY ŁAZIENKACH KRÓLEWSKICH

Zapraszamy do oglądania wykończonych i wyposażonych apartamentów w sercu zielonego Mokotowa



ul. Podchorążych 83, Warszawa | T. +48 535 10 10 10 | sprzedaz@tacit.com.pl | www.apartamentyparklane.pl

[Kup książkę](#)

Era smogu



Jerzy Baczyński

Chyba każdy, kto jako tako interesuje się w Polsce polityką, oglądając uroczystość inauguracji prezydentury Donalda Trumpa, musiał mieć wrażenie, że już zna to, co usłyszał. Trumpizm, choć jest produktem lokalnym, made in USA, dla nas jest przecież „powidokiem PiS”. Podobieństwa mentalne i retoryczne są uderzające. Z pewnymi oczywistymi korektami, bo jednak Trump jest przywódcą globalnego mocarstwa, jego przemówienie inauguracyjne mogłaby spokojnie wygłosić Beata Szydło. Było, rzecz jasna, o elitach, które zerowały na ludziach pracy, i wielkiej historycznej zmianie, polegającej na oddaniu władzy zwykłym obywatelom. Było o zaniedbanej Ameryce, zmurszałej infrastrukturze, a nawet więcej – o „amerykańskiej jatce”, jaką politycy urządzili narodowi (że też nasz Prezes nie wpadł wcześniej na dosadną metaforę „rzeźni Tuska”). Padły, znane także nam, zapowiedzi: odbudowy przemysłu i handlu, zwalczania imigracji, podniesienia polityki zagranicznej ze stanu naiwności, poprawności i uległości do bezwzględnej obrony własnych interesów. „Po pierwsze, Ameryka!”.

Teraz wszyscy zastanawiają się, co z tego naprawdę wyniknie? Na razie tylko tzw. rynki są spokojne, bo głosami „zapomnianych Amerykanów” do władzy doszła wielka biznesowa oligarchia, która liberalnemu turbokapitalizmowi krzywdy nie zrobi. Przeciwnie, właśnie organizuje się coś na kształt Korporacji Ameryka, gotowej do negocjacji, handlu i wymiany w każdym obszarze – także politycznym, humanitarnym, ekologicznym, militarnym – i w każdym rejonie globu. Na tym, niestety, polega różnica między naszym lokalnym populizmem a wersją amerykańską. Stany Zjednoczone mają instrumenty, aby realizować swój egoizm, nawet za cenę wielkich międzynarodowych napięć i konfliktów. Ale taka wersja Ameryki i taka perspektywa dla świata akurat dla nas jest niezmiernie groźna. My jako kraj średniej wielkości, peryferyjny, niezamożny, od niedawna dopiero praktykujący demokrację i wolny rynek, nie mamy środków narzucania swojej woli i interesów partnerom, skazani jesteśmy na uciążliwe negocjacje, sojusze, łapanie okazji, mozolną budowę własnej pozycji, wizerunku, kapitału. Amerykański populizm jest przede wszystkim niebezpieczny dla świata, także tego, w którym ostatnio umożliwiliśmy sobie miejsce; nasz – głównie dla nas samych. Ale, niestety, oba jakoś się sumują.

Wdniu inauguracji prezydenta Donalda Trumpa w Waszyngtonie pogoda była podobna jak w Warszawie: chłodno, mglisto, nieprzyjemnie. Taki też był polityczny klimat w większości stolic zachodniego świata, dawnych (chyba tak trzeba już mówić) sojuszników Ameryki. Pierwsze zapowiedzi i gesty nowego prezydenta raczej potwierdzają, że Trump będzie rozniecał ledwo co przygaszone pożary (Izrael, Iran, Syria) i podkładał ogień lub przynajmniej rozlewał podpałkę pod całą konstrukcję światowego ładu i handlu (na nowo, nie wiadomo jeszcze jak, mają być układane relacje Ameryki z Chinami, Rosją, NATO, Unią Europejską, Niemcami, Wielką Brytanią itd. – s. 10). Wraz z nadejściem Trumpa cały współczesny świat zanurzył się we mgle, a właściwie niezdrowym smogu, w którym trudno się poruszać i ciężko oddychać. W samej Ameryce atmosfera publiczna też jest – trzymając się ekologicznego języka – gęsta od emocji, lepka od pomówień, zanieczyszczona emitowanymi na skalę przemysłową kłamstwami, tym razem pod nową modną nazwą „fakty alternatywne”. Jątrzący styl i język kampanii wyborczej Donalda Trumpa już zatruł Amerykę, podzielił społeczeństwo, wywołał podobne reakcje, jakie obserwujemy w Polsce od wyborów. Inauguracji tej prezydentury towarzyszyły nieobserwowane wcześniej masowe, milionowe protesty. Skojarzenia z naszymi Czarnymi Marszami kobiet, a nawet jakimiś załążkami „ruchu obrony demokracji” same się nasuwają. Tym razem, wyjątkowo, w czymś wyprzedzili śmy Amerykę.

Mimo wszelkich podobieństw między naszymi bratnimi populizmami amerykański system polityczny, zabetonowany w nienaruszalnej konstytucji, sprawia, że nowa władza, bez względu na własne wyobrażenia na swój temat, jest (jak ujął to Obama) jedynie przecinkiem, a nie kropką w historii. Nam też się zdawało, że mamy silne ustrojowe mechanizmy bezpieczeństwa, ale dopiero teraz widać, jak były nieodporne na atak (Trybunał Konstytucyjny, niezależna prokuratura, media publiczne) i płytko zakorzenione. Więc, wracając do metafory smogowej, Prezes może dziś dowolnie dokładać do pieca. Ostatnio przy pomocy policji i prokuratury próbuje zastraszyć demonstrantów, którzy jego samego przestraszyli pod Sejmem. Przy okazji, jak tyle razy wcześniej, bierze werbalny odwet na przeciwnikach, miotając pogardliwe teksty o „twarzach ubeków i ludziach specjalnej troski”, jakie w pamiętną noc zaglądały mu do limuzyny. PiS ustami prezesa zapowiada niedopuszczenie – w większości opozycyjnych – burmistrzów i prezydentów miast do następnych wyborów samorządowych; zaprowadzenie porządku i prawdy w mediach (?); zaostrzenie kar dyscyplinarnych wobec posłów opozycji i sędziów. Co tydzień kolejne wrzutki do pieca, bo, jak zgrabnie pokazuje kabaret „Ucho prezesa”, szef zarządza poprzez nieustanne podgrzewanie konfliktów i zac zadanie dymiącą od rana do nocy propagandą.

Nasza, na pozór kompletnie przedwczesna, propozycja, aby już dziś zastanawiać się, jak będzie wyglądał kraj po PiS (s. 20), jest jak wezwanie do założenia maski przeciwgazowej.

Jan Koza



© JAN KOZA

Grupa posłów Platformy i Nowoczesnej, którzy protestowali w Sejmie od 16 grudnia.



© PIOTR MAŁECKI/NAPO IMAGES

Kto miał rację w kryzysie sejmowym?

Polacy trochę bardziej za opozycją, nawet wśród wyborców PiS co piąty przyznaje rację opozycji.

Kryzys sejmowy ciągnął się przez prawie miesiąc i był najważniejszym wydarzeniem politycznym z przełomu roku. Połowa Polaków nie potrafi jednak wskazać, kto w tym sporze miał rację. Pozostali częściej przyznają ją Platformie

i Nowoczesnej (uważa tak co trzeci badany) niż PiS (20 proc.) – wynika z sondażu Danae* dla POLITYKI INSIGHT. Elektorat partii Jarosława Kaczyńskiego jest przy tym podzielony – co piąty wyborca PiS przyznaje rację opozycji. Jeszcze bardziej podzieleni

– bo na trzy niemal równe części – są wyborcy Kukiz'15: blisko co trzeci z nich jest za PO i Nowoczesną, podobna grupa staje po stronie PiS, a 36 proc. nie ma sprecyzowanej opinii w tej sprawie.

Spore wątpliwości wywołuje legalność przyjęcia ustawy budżetowej przy nieobecności posłów opozycji. Tylko co czwarty Polak uważa, że została ona uchwalona w legalny sposób, przeciwnego zdania jest 39 proc. badanych. Wątpliwości w tej sprawie podziela co szósty wyborca PiS i trzy czwarte elektoratów PO, Nowoczesnej i PSL.

Sondaż wskazuje też, że decyzja opozycji o opuszczeniu sali plenarnej była słuszna. Tylko co dziesiąty badany jest zdania, że PO i Nowoczesna powinny być na niej pozostać. Co piąty uważa, że protest powinien być kontynuowany, ale w inny sposób, a co trzeci – że powinien zostać przerwany. Za pozostaniem w sali plenarnej Sejmu opowiedział się co trzeci wyborca PO i co piąty – Nowoczesnej.

Polacy w ocenie kryzysu są podzieleni, a żadna partia jednoznacznie na nim nie zyskała. Stracił natomiast Sejm, którego autorytet nadzarpnięto i w którym trudniej będzie pracować zwaśnionym po kryzysie posłom.

JS (PI)

* Badanie przeprowadzone w dniach 12–18 stycznia 2017 r. na ogólnopolskiej, reprezentatywnej próbie 1027 mieszkańców Polski powyżej 15. roku życia.

KOMENTARZ

Efekt mrozący



Marek Ostrowski

Policja pod nadzorem prokuratury w Warszawie opublikowała zdjęcia 21 osób, które demonstrowały przed Sejmem przeciwko samowoli władzy. Trzeba potępić ten swego rodzaju list gończy przeciw demonstrantom jako kolejny krok ograniczania swobód obywatelskich w pisowskim państwie. W tym „liście gończym” policja stwierdza: „nieznane osoby naruszyły porządek prawny”. W ustroju demokratycznym nie do policji ani prokuratury taka ocena należy, lecz do sądu.

Dla zaciemnienia sprawy policja czy prokuratura nie piszą, co właściwie zarzucają fotografowanym osobom. To, że demonstrowały przeciw władzy? Wolność zgromadzeń to istotny element współczesnej normy demokratycznego państwa prawa. Oczywiście wolność zgromadzeń i protesty mają swoje granice. Najkrócej mówiąc, demonstranci nie mogą być uzbrojeni ani stosować przemocy. To, że uprzykrzają władzy życie czy powodują utrudnienia innym uczestnikom przestrzeni publicznej – należy do natury demonstracji. Utrudnienia tak, przemoc nie.

Pisowski poseł oburzał się w radiu, że jakiś demonstrujący „rzucił się pod samochód prezesa” i traktował to – jak rozumiem – jako najlepszą ilustrację zła po stronie demonstrantów. Pomijając już powiatowo-operowy opis posła, to kładzenie się na ziemi trudno uznać za taką formę przemocy, która przekreśla prawo obywatela do demonstrowania. Jeśli ktoś się przed nami kładzie, to sygnalizuje, że raczej sam jest gotów ponieść szkodę, niż zaszkodzić drugiemu, zwłaszcza siedzącemu w limuzynie.

Natomiast złem i wyrządzeniem szkody obywatelom na pewno można nazwać opublikowanie wizerunków osób, którym nie postawiono poważnych zarzutów. To bezprawie. Lepiej, by się ktoś podpisał pod tym listem gończym. Owszem policja publikuje takie listy, ale przy podejrzaniach o poważne przestępstwa. Proponuję test: w przypadku jakiegokolwiek szkody, powiedzmy włamania do piwnicy, spróbujcie się poskarżyć policji i domagać opublikowania fotografii podejrzanego w komunikacie policyjnym. Przecież was wyśmieją. A tu nawet nie wiadomo, co właściwie władza sfotografowanym osobom zarzuca. Wysługująca się władzy prokuratura – czy policja – dopuściła się więc poważnego, bardzo niebezpiecznego nadużycia.

Prawnicy mówią o „efekcie mrozącym” przepisu lub działania władzy, wtedy gdy chce ona spowodować, by nie korzystano ze swobód i wolności, zastraszyć obywateli, by ograniczyli protesty do narzekania w domu. To, że demonstranci sami zgłaszają się na policję, świadczy o tym, że tak łatwo się pisowcom zmrozić nie dadzą.



Polska wałachem stoi

Dziś zajmiemy się mądrościami ludowymi i odkryjemy ich nowe praktyczne znaczenia.

Zacznijmy od „lewą ręką za prawe ucho”, czyli po co robić coś prosto, jeśli można to skomplikować. Do tego powiedzonka jak ułał pasują łamańce, jakie rząd wyczynia z systemem emerytalnym. Przypomnijmy: w 2012 r. ustawowo przedłużono wiek emerytalny mężczyzn i kobiet z, odpowiednio, 65 i 60 lat do 67 lat. Z jednym wszakże zastrzeżeniem, o którym zdaje się mało kto dzisiaj pamięta: podwyższanie wieku emerytalnego miało być stopniowe – a konkretnie o jeden rok co cztery lata. 67-letni wiek emerytalny mężczyźni mieli osiągnąć w 2020 r., a kobiety dopiero w roku 2040 (!). Była to logiczna konsekwencja faktu, że żyjemy dłużej, a więc i pracować powinniśmy dłużej, zwłaszcza że osób w wieku produkcyjnym, które będą zarabiać na nasze emerytury, będzie relatywnie coraz mniej.

Jednak gdy polityków zaślepia żądza władzy, logika musi ustąpić miejsca chciwstwu. Podpisując ustawę obniżającą wiek emerytalny, prezydent Andrzej Duda z właściwym sobie zadaniem oświadczył, że dopiero teraz Polakom „przywracana jest godność”. Skądinąd wiadomo, że podpis Andrzeja Dudy obniża emerytury pań o ok. 33 proc., a panów o ok. 11 proc., ale cóż – godność kosztuje. Autorzy tej „dobrej zmiany” dobrze o tym wiedzą, stosując więc znaną metodę wyjaśniania przez mącenie. „Przecież my nikogo nie zmuszamy do przejścia na emeryturę. Jeśli czuje się na siłach, niech nadal pracuje” – powiadają. Ale przecież dotychczasowa ustawa właśnie to przewidywała! Przy ustawowym wieku emerytalnym 67 lat pozwalała przejść na wcześniejszą, odpowiednio niższą emeryturę w wieku 65 lat (mężczyźni) i 62 lat (kobiety). Po co więc lewą ręką do prawego ucha sięgać, kiedy wystarczyło co najwyżej lekko skorygować to, co było? Już Gogol przecież proroczo napisał: „Oczywiście Aleksander Macedoński bohaterem był – ale po co zażar łamać krzesła?”. Wygląda jednak na to, że dopóki Rosjanie nie oddadzą wraku, Gogol będzie na indeksie.

No dobrze – powie ktoś – zmiana niepotrzebna, ale w sumie na jedno wychodzi i nic się nie stało. Otóż stało się. Podwyższenie wieku miało dwa cele: ochronę wysokości emerytur i ochronę budżetu przed nadmiernymi wydatkami (czytaj: przed podwyżką podatków). Rząd przekonuje, że niska emerytura skłoni do niepobierania teź i kontynuowania pracy – ale to nieprawda. Po osiągnięciu ustawowego wieku emerytalnego obywatel ma prawo do pobierania emerytury i kontynuowania lub podjęcia zatrudnienia – gwarantuje mu to wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Mało tego, ustawa gwarantuje podwyższenie naliczonej emerytury do wysokości emerytury minimalnej (dziś 1 tys. zł), jeśli ta pierwsza jest od tej drugiej niższa (a takich przypadków przy niższym wieku emerytalnym będzie multum!).

W sumie, po obniżeniu wieku emerytalnego, bez względu na to, czy obywatel będzie nadal pracował czy nie, czekają nas ogromne wydatki budżetowe. Wie o tym minister Morawiecki, więc jego resort śle różne pomysły mające zniechęcić do... czego? Ano do rezygnacji z odzyskanej właśnie godności i nieprzechodzenia na emeryturę mimo osiągnięcia wieku, o który PiS i obaj panowie Duda walczyli tak zjadale.

Proponuje się więc np. zakaz lub ograniczenie dorabiania na emeryturze (wbrew wyrokowi TK) czy zaprzestanie naliczania składek tym, którzy pracują, pobierając emeryturę. Ale czy

to wystarczy? Mogą być potrzebne bardziej zdecydowane kroki. Podrzucam pomysł: emerytura nie zostanie przyznana, jeśli kandydat na emeryta nie przedłoży notarialnie potwierdzonej zgody rodziców.

I w ten to sposób rząd, który już trzymał się lewą ręką za prawe ucho, teraz jeszcze prawą złapie się za lewe. Proszę wykonać tę figurę i stanąć przed lustrem: tak właśnie będzie wyglądał nasz system emerytalny (albo budżet państwa – zależy, co się uchwali).

Czas teraz na znane przysłowie „(Bez)Pańskie oko konia (nie)tu- czy”. Wpadły mi w rękę dwa numery magazynu „Świat Koni” (nie mogę przecież stale czytać „wSieci” i „Do Rzeczy”), a w nich wiadomości, od których grzywa się jeży. Nie przebrzmiały jeszcze echa kompromitacji podczas aukcji koni arabskich w Janowie Podlaskim, a tu kolejne porażki. W Czemponacie Europy w Belgii wystawiliśmy 22 konie, a zdobyliśmy zaledwie jeden brązowy medal. Tymczasem w 2015 r. mieliśmy dwa złote medale i jeden brązowy, a w 2014 r. – dwa złote, trzy srebrne i trzy brązowe. Kolejną klęskę ponieśliśmy na słynnym pokazie koni arabskich w Akwizgranie.

W poprzednich latach Polska odnosiła wielkie sukcesy, zdobywając dziewięciokrotnie Puchar Narodów i sześciokrotnie Puchar Hodowców. Byliśmy liderem. W roku „dobrej zmiany”, w którym zmieniono władze w stadninach państwowych, polskie konie nawet nie stanęły na podium! Jedynie medalowe miejsce wywalczył wyhodowany w SK Michałów El Emado, który został wicczempionem w kategorii... wałachów. Wałach ma wiele zalet i tylko jedną wadę – nie zostanie ojcem, więc się na nim nie zarobi. Po tych spektakularnych porażkach szefowie SK Janów Podlaski nie wysłali koni na Czemponat Świata w Paryżu. W 2015 r. klacz z Janowa, Pinga, została Platynową Czemponką Świata, dwa medale – złoty i srebrny – zdobyły ogiery. W tym roku naszych koni zabraknie tam po raz pierwszy od 16 lat! Z drugiej strony może to jednak i dobrze – unikniemy kolejnego blamażu. Przez dziesiątki lat Polska ogierami i klaczami stała. Wygląda na to, że teraz będzie stała wałachem.

Przejdźmy do deseru. Przygotował go mąż sprawiedliwy i pryncypialny, bo sam Jarosław Gowin, który o Jarosławie Kaczyńskim w wywiadzie dla „Wprost” w lipcu 2012 r. mówił tak: „To stuprocentowy cynik. (...) Fanatyczna wiara w słuszność celów usprawiedliwia w jego oczach sięganie po dowolne środki. Nie ma w polskiej polityce człowieka równie bezwzględnego jak on”. No i jakie przysłowie tu dopasować? „Zyskuje przy bliższym poznaniu”? Chyba jednak: „Kto z kim przestaje...”.

Bardzo chciałem zakończyć ten felieton jakimś optymistycznym akcentem, ale właśnie dowiedziałem się, że to nie koniec „dobrej zmiany” w stadninach koni. Nowi prezesi obejmą stadniny w Liskach, Racocie, Walewicach, Nowielicach i Prudniku. Tylko koni żal...

Marek Borowski – polityk, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji. Od 2011 r. zasiada w Senacie (niezrzeszony), wcześniej był posłem (I–IV i VI kadencji). Współtworzył SdRP. Jako pierwszy zaproponował przekształcenie koalicji SLD w partię, której później był członkiem i wiceprzewodniczącym. Z Sojuszem rozstał się w 2004 r. Wraz z grupą polityków lewicy założył SDPL – z kierowania partią zrezygnował cztery lata później.



© AFP/EAST NEWS

Przewodniczący z przeszłością

Włoski polityk nie chce, by nadal kojarzono go z Silvio Berlusconim, z którym tworzył partię Forza Italia.

Nowym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego został chadek **Antonio Tajani**. 63-letni włoski prawnik i zdeklarowany monarchista. Skromny, rozsądny, ale i nieznany szerzej poza Włochami i PE. Znacznie mniej wyrazisty od swojego poprzednika Martina Schulza. Oprócz prawa skończył również szkołę wojskową i tuż po studiach krótko pracował w siłach powietrznych jako kontroler ruchu. Potem zajął się dziennikarstwem, gdzie odnosił największe sukcesy. Przez wiele lat pracował w dzienniku „Il Giornale”, a dzięki znajomości języków (oprócz włoskiego dobrze mówi po angielsku, francusku, hiszpańsku i trochę po rosyjsku) był korespondentem zagranicznym tej gazety. Na początku lat 90. został nawet jej redaktorem naczelnym.

Zerwał jednak z dziennikarstwem, żeby wspólnie z Silvio Berlusconim budować struktury Forza Italia. Przez lata był rzecznikiem i cieniem Berlusconiego. Z jego nadania został również unijnym komisarzem ds. transportu, a potem przemysłu i przedsiębiorczości. To dzięki Tajaniemu w UE obowiązuje dziś m.in. prawo do odszkodowania za spóźniający się samolot czy szybsza rejestracja samochodów. Jednak krytycy dużo częściej wyciągają mu aferę Volkswagena z fałszowaniem danych o emisji silników Diesla, zarzucając mu, że jako komisarz nie doprowadził wcześniej do jej wykrycia. Jego samego jednak chyba znacznie bardziej uwierają skojarzenia z Berlusconim, do tego stopnia, że usunął ze swojej strony wszelkie informacje łączące go z byłym premierem Włoch. Jako przewodniczący PE chce reformować Unię, ale po swojemu, czyli spokojnie, bez rozgłosu, kamer i chwytliwych ideologicznych haseł.

Amnestia dla swoich

Gang polityków chce zmienić ustawy i osłabić państwo prawa – ogłosił na wiecu prezydent Klaus Iohannis.

Rządowy projekt amnestii wywołał w Rumunii kilkudniowe manifestacje w wielu miastach, z finałem w niedzielę w Bukareszcie, gdzie na placu Uniwersyteckim protestowało ponad 10 tys. osób. Chodzi o formę: nowy premier Sorin Grindeanu chce wprowadzić amnestię własnym rozporządzeniem, bez konsultacji, poza parlamentem i prezydentem. Chodzi też o istotę tego posunięcia, a konkretnie o to, że może zniweczyć postępy w walce z korupcją. Amnestią byłiby objęci więźniowie z wyrokami poniżej 5 lat, a osobom powyżej 60 lat i więźniom posiadającym małe dzieci odsiadka byłaby automatycznie zmniejszona o połowę. Premier ogłosił, że głównym powodem amnestii jest przepełnienie więzień i że nie obejmie ona osób skazanych za korupcję. Ale liczni eksperci przewidują, że otworzy to szereg furtek. Chodzi konkret-



© AFP/EAST NEWS

nie o przyjaciół politycznych współzrządzających socjalistów z PSD i kilkanaście osób ze świecznika, również politycznego, którym w sądzie powinna się noga.

Sam przewodniczący PSD Liviu Dragnea został skazany na dwa lata w zawieszeniu. Za złamanie prawa w kampanii przed referendum z 2012 r., dotyczącym ówczesnego prezydenta Basescu (kiedy to nadgorliwa grupa polityków przekupywała wyborców i fałszowała karty do głosowania). Ma tym samym dwuletni zakaz piastowania funkcji publicznych i nie mógł teraz objąć teki premiera. „Gang polityków, którzy mają kłopoty z prawem, chce zmienić ustawy i osłabić państwo prawa” – przemawiał emocjonalnie prezydent **Klaus Iohannis**, który przyłączył się do manifestantów w Budapeszcie.

Miał się wysadzić

Turcy w zeszłym tygodniu zatrzymali sprawcę noworocznego ataku na stambulski Klub Reina. Uzbek **Abdulgadir Maszaridow**, który zabił wówczas 39 osób, 69 ranił, odnalazł się w niewielkim mieszkaniu w Esenyurt, na przedmieściach Stambułu. Identyfikacja była łatwa, bo jego twarz zarejestrowały kamery na miejscu zbrodni. Kilka godzin po zatrzymaniu władze opublikowały zdjęcie Maszaridowa, na którym ma on ślady „uporczywego przesłuchania”.

To może tłumaczyć, dlaczego Uzbek odpowiada na pytania. Twierdzi, że należy do tzw. Państwa Islamskiego, które kontrolowało przebieg zamachu. Pierwsze szkolenie przeszedł jednak w irackiej



© AN

Al-Kaidzie, z której odszedł, bo była za mało radykalna. W klubie był ponoć pierwszy raz, a jego topografię nauczył się z krótkiego filmu, oglądając go kilkaset razy. Na koniec miał się wysadzić, ale w dostarczonym mu plecaku nie było obiecanych granatów.

Ważne dla kontekstu jest miejsce zatrzymania. Esenyurt to jeszcze w latach 90. był rozległy slums, do którego przybywali imigranci, głównie z Azji Centralnej. Władze długo przymykały oczy na chaotyczną rozbudowę oraz wpływy uzbeckiej i kirgiskiej mafii, bo konserwatywni mieszkańcy mieli w przyszłości stanowić przeciwwagę dla liberalnego Stambułu (Nowa Huta – Kraków). W ostatnich latach w Esenyurt powstały dziesiątki wieżowców komunalnych. Maszaridow doskonale wtopił się w to otoczenie. W trakcie zatrzymania w mieszkaniu były też trzy młode i nieskoligacone z nim kobiety – Senegalka, Somalijska i Egipcjanka. Turecka prokuratura twierdzi, że był to „podarek” od zleceniodawców za wykonanie zadania.

Donald Trump tuż przed
objęciem urzędu
prezydenta USA

Dryf kontynentalny

Wstępne słowa i czyny nowo zaprzysiężonego Donalda Trumpa to potwierdzają: po raz pierwszy od stu lat prezydent USA widzi w Europie rywala, a nie sojusznika.

ŁUKASZ WÓJCİK

Ameryka nie miała wcześniej prezydenta, który tak bardzo jak Barack Obama chciał zrobić z niej drugą Europę. „Czterdziesty czwarty” widział w Unii Europejskiej najważniejszego partnera Ameryki. Nie obawiał się federalnej Europy, wręcz ją wspierał. Był otwartym zwolennikiem pozostania Wielkiej Brytanii w Unii, osobiście wsparł proeuropejskiego premiera Włoch przed grudniowym referendum i priorytetowo traktował Transatlantyckie Porozumienie o Wolnym Handlu (TTIP). Efekty były, jak wiadomo, odwrotne do zamierzonych. Przy okazji Obama stał się wygodnym wrogiem dla antyeuropejskich ruchów na Starym Kontynencie i jako „naczelnny kosmopolita świata” przysporzył im wielu głosów.

45. prezydent USA Donald Trump ma o Europie zupełnie inne zdanie. Symboliczny jest tu wybór nowego ambasadora Ameryki przy Unii Europejskiej. Niemal na pewno zostanie nim Ted Malloch – to tak jakby Polska, nie przymierzając, wy-

słała do Brukseli Tomasza Terlikowskiego. Malloch, potomek prezydenta Theodore’a Roosevelta, jest głęboko wierzącym chrześcijaninem, który nie ukrywa obrzydzenia europejskim projektem. Uważa zresztą, że cały bezbożny kontynent zmierza ku upadkowi, w odróżnieniu od Ameryki.

Trump też nie przepada za Europą, ale z nieco innych pobudek. Podczas kampanii wskazywał na Chiny jako głównego przeciwnika Ameryki, ale z ostatnich wypowiedzi wynika, że to Unia Europejska będzie dla niego w tej roli poręczniejsza. Jest od Chin silniejsza gospodarczo, stanowi większą konkurencję dla amerykańskiego handlu, wciąż jest też oazą „zgniłego liberalizmu” i poprawności politycznej. Zachodnia wspólnota wartości, którą tak podkreślał Obama, jest dla Trumpa bez znaczenia.

Dla niego liczy się biznes, a ten łatwiej się prowadzi ze słabszymi kontrahentami. Jeśliby przyjąć na poważnie pierwsze słowa i decyzje nowego prezydenta USA, to będzie on chciał osłabić Europę, stosując metody zaczerpnięte wprost od Władimira Putina, który usilnie udaje, że coś takiego jak Unia Europejska nie istnieje, i próbuje się dogadywać z każdym państwem osobno.

Pierwsza w kolejce jest Wielka Brytania. Wielu zwolenników Brexitu uważa, że wygrana Trumpa tylko potwierdza, że mieli rację. Przekonują: świat się zmienia i Wielka Brytania, wyzwalając się z Unii, jest dziś pionierem nowego globalnego porządku opartego na zasadzie suwerenności, którego patronem będzie Trump. Szef brytyjskiego MSZ Boris Johnson po spotkaniu z prezydentem elektem 9 stycznia mówił, że „ma bardzo ekscytującą agendę zmiany” i że suwerenna Wielka Brytania będzie właśnie „pierwsza w kolejce” po bilateralną umowę handlową z Ameryką.

Brytyjcy konserwatyści w sprawie Trumpa przeszli przemianę. Sama premier Theresa May wcześniej mówiła o Trumpie jako o „niebezpiecznym nuworyszu”. Praktycznie wszystkie znane poglądy nowego prezydenta USA – w sprawie umowy nuklearnej z Iranem, zmian klimatycznych, przyszłości NATO, handlu międzynarodowego – są deklaratorywnie sprzeczne z brytyjskimi. Ale odkąd Trump poparł Brexit i obiecał, że nie zostawi anglosaskich braci w potrzebie, Londyn wyraźnie zaostrzył ton w sprawie zasad wychodzenia z Unii, czego kulminacją było styczniowe oświadczenie May o rezygnacji z udziału w unijnym wspólnym rynku.

Kilka dni później Trump w wywiadzie dla londyńskiego „The Times” i niemieckiego „Bild” wyraził nadzieję, że za Wielką Brytanią z Unii uciekną kolejne państwa, bo jest to „instrument niemieckiej dominacji”, za pomocą którego Berlin chce pokonać Amerykę w wojnie handlowej. Tak jak Putin próbuje więc dzielić Unię na przyjaciół i wrogów. Do tej drugiej roli pasują mu Niemcy, bo bez względu na to, czy uznamy, że Unia jest narzędziem w niemieckich rękach, czy też że Berlin stoi jako *primus inter pares* innego porządku opartego na wspólnocie wartości, wyciąganie kolejnych państw z Unii według Trumpa osłabia międzynarodową pozycję Berlina.

Trump, sądząc po jego retoryce, trafnie wyczuwa najsłabszy punkt niemieckiej pozycji w Europie – strach sąsiadów przed dominacją Berlina. Umiejętnie podkreśla antyniemieckie sentymenty, określając się jako „germanofob” i przypominając o niemieckiej słabości do militarystyki. Czy Trump rzeczywiście tak uważa? Można odpowiedzieć pytaniem na pytanie: a jakie to ma znaczenie? Ważne, że uderza w najsilniejszego członka Unii, jednocześnie rozbijając jej jedność.

Berlin ciężko przeżywa to odrzucenie. Dirk Kurbjuweit napisał ostatnio w „Der Spiegel”, że Niemcy są przecież dzieckiem Zachodu, a w szczególności Ameryki. „Powołane do życia dzięki amerykańskiej szczodrości, długo karmione łyżeczką, teraz są w stanie szoku”. Kurbjuweit przekonuje, że „każdy amerykański prezydent był poniekąd też naszym [niemieckim] prezydentem”. Trump, mimo że miał dziadka z Bawarii, najwyraźniej nie zamierza kontynuować tej specjalnej relacji. „Na starcie Angela Merkel ma u mnie taki sam kredyt zaufania jak Władimir Putin” – mówił we wspomnianym wywiadzie.

Przy tym wszystkim Merkel zachowuje stoicki spokój. Zapytana o wypowiedzi Trumpa dla „Timesa” i „Bild”, odpowiedziała, że poczeka na czyny oraz że wbrew nadziejom Amerykanina nie przewiduje kolejnych exitów z Unii. Trump jest innego zdania. Podczas pierwszej telefonicznej rozmowy z przewodniczącym Rady Europejskiej Donaldem Tuskiem miał ponoć zażartować: „To kto następny wychodzi z Unii?”. Może więc Polska?

Wśród polskich ekspertów od geopolityki dominuje przekonanie podszyte strachem, że Trump dogada się z Putinem ponad głowami Europejczyków ze wschodu. Zrezygnuje ze wzmocnienia wschodniej flanki NATO, cofnie amerykańskie sankcje nałożone na Rosję po inwazji na Ukrainę i de facto uzna naszych wschodnich sąsiadów za rosyjską strefę wpływów – a wszystko to w ramach gestu na dobry początek nowych relacji z Moskwą. Możliwy jest też odwrotny scenariusz. Jeden z najbardziej doświadczonych amerykańskich dyplomatów,

który w początkach swojej kariery służył na placówce w Warszawie, przekonuje nas, że Polska może być jednak „następna w kolejce” po Wielkiej Brytanii. Antyeuropejska, suwerennościowa retoryka polskiego rządu podoba się ludziom Trumpa, „czuć te same wibracje”. W dodatku Polska jako jeden z zaledwie czterech europejskich członków NATO spełnia wymóg przeznaczania 2 proc. PKB na armię, co dla Trumpa ma być dowodem na sojuszniczą odpowiedzialność.

Jeśli więc celem Trumpa jest osłabienie Unii, a w szczególności Niemiec, Warszawa może się spodziewać hojnej propozycji w postaci bilateralnej umowy handlowej z USA, a w dalszej perspektywie nawet odrębnego od NATO paktu bezpieczeństwa, twierdzi wspomniany dyplomata. Trudno sobie wyobrazić większy prezent dla ekipy Jarosława Kaczyńskiego, która przecież traktuje Amerykę jak mitycznego anioła stróża Polski. Warto tylko pamiętać, że Polska nie może podpisywać żadnych umów handlowych na własną rękę. Chyba że wystąpi z Unii.

Niechęć Trumpa do Europy jest w jakimś stopniu uzasadniona. Oskarżenia pod adresem europejskich sojuszników, że „jeżdżą na gapę”, wydając zbyt mało na zbrojenia, trudno uznać za nieuprawnione. Szczególnie że w Europie oszczędzanie na wojsku pod hasłem „Ameryka nas obroni” zyskało w czasach nawet filozoficzne usprawiedliwienie. A mianowicie, po zakończeniu zimnej wojny Europa przejęła rolę potęgi „normatywnej”, szerząc liberalny internacjonalizm swoim własnym przykładem. Ameryka miała się zająć siłowym utrzymaniem pokoju na świecie, Europa miała to moralnie żyrować. Trudno się więc dziwić, że zmęczeni wojnami Amerykanie chcą renegotjować ten układ.

Nawet jednak biorąc to wszystko pod uwagę, amerykański altruizm wobec Europy, o którym tak chętnie przypomina Trump, można włożyć między bajki. Amerykanie sparzyli się na izolacjonizmie już w latach 20. i 30. XX w., stąd ich powojenne otwarcie gospodarcze na Europę, realizowane w ramach międzynarodowych struktur finansowych wymyślonych w Waszyngtonie i w Bretton Woods. Plan Marshalla, który co prawda kosztował Amerykanów ok. 107 mld dol., licząc w dzisiejszych pieniądzach, zwrócił się z nawiązką – powojenny cud gospodarczy w Europie przyniósł amerykańskim korporacjom najlepsze lata w XX w. Od początku ten sojusz Zachodu opierał się na amerykańskim interesie własnym – z tego też powodu przetrwał tak długo.

Wygląda na to, że prezydent Trump może zniszczyć ten sojusz, wychodząc z błędnego założenia, że w każdej współpracy ktoś musi przegrać, aby ktoś inny mógł wygrać. Stąd próba rozrywania Europy na tych dobrych i złych. Tym pierwszym są posłodzi, tym drugim pogrozi – wszyscy jednak zgodzą się na „renegocjację warunków sojuszu”, bo będą załatwiani osobno, każdy w roli petenta amerykańskiej potęgi.

Amerykanie mają jednak takie powiedzenie – *be careful what you wish for* – uważaj na marzenia (bo mogą się spełnić). Pomysł rozbicia Europy, jedynego potencjalnego mocarstwa, które miało genetycznie wmontowany sojusz z Ameryką, i to w dobie triumfów Chin i Rosji, tylko po to, aby poprawić sobie bilans handlowy, brzmi kuriozalnie. Ale wygląda na to, że ten pomysł wraz z zaprzysiężeniem Trumpa zyskał status narodowej strategii.

W normalnych warunkach byłby to dla Europy potężny impuls za integracją. Taki mechanizm samoobronny nie zadziałał jednak w 2015 r., podczas najgłębszego kryzysu migracyjnego. Również wcześniejszy kryzys finansowy zmusił Europejczyków tylko do połowicznych kroków, patrz – niedokończona unia bankowa. Odwrócenie się Ameryki od Europy byłoby jednak geopolitycznym szokiem na skalę nieporównywalną z innymi bólaczkami kontynentu. Jeśli więc cokolwiek miałyby jeszcze obudzić w Europejczykach euroentuzjazm, to może właśnie Trump w Białym Domu i jego pomysły na urządzenie świata. Teraz albo nigdy. ■